



Tadeusz Lubelski

ULICA KRZYWOUSTEGO

UNIVERSITAS

Tadeusz Lubelski – ur. 1949 w Gliwicach, profesor nauk humanistycznych, związany z Instytutem Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie wykładał historię filmu. Ma w dorobku m.in. książki: *Poetyka powieści i filmów Tadeusza Konwickiego* (1984), *Strategie autorskie w polskim filmie fabularnym lat 1945–1961* (1992, wyd. drugie 2000), *Nowa Fala. O pewnej przygodzie kina francuskiego* (2000, wyd. drugie poszerzone 2017), *Wajda* (2006), *Historia kina polskiego* (2009, wydanie drugie poszerzone 2015), *Historia niebyła kina PRL* (2012, nominowana do Nagrody NIKE). Pod jego redakcją ukazały się m.in.: *Encyklopedia kina* (2003, 2 wyd. 2010) oraz (wspólnie z Agnieszką Morstin) czterotomowe *Notesy 1942–2016* Andrzeja Wajdy (2024). Na emeryturze wrócił do swojej pierwszej pasji – literatury. W 2023 wydał książkę biograficzną *Hollender tułacz. Ulica Krzywoustego* jest jego debiutem powieściowym.

Kopia dla
Kopia dla

ULICA
KRZYWOUSTEGO

Tadeusz Lubelski

**ULICA
KRZYWOUSTEGO**

UNIVERSITAS

Publikacja ukazała się przy wsparciu Instytutu Książki w ramach programu wydawniczego Inne Tradycje. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach dotacji celowej Nr 3/DF-VII/2026.



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Instytut
Książki
©Poland

© Copyright by Tadeusz Lubelski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2026

ISBN 978-83-242-4255-9
e-ISBN 978-83-242-6940-2
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Sabak

Skład i łamanie
Pracownia Słowa

Projekt okładki i stron tytułowych
Paweł Sepielak

Fotografia na okładce
Tadeusz Lubelski

Druk
Drukarnia Elpil
ul. Artyleryjska 11
08-110 Siedlce

www.universitas.com.pl

*Każdy dzień skraca o głowę jedną godzinę dzieciństwa
Daj oku czas
i czasowi pozwól na rozrzutność*

Horst Bienek, gliwickie dzieciństwo, 1966

*Działo się to wszystko [...] w czasach, gdy źródłem informacji
były gazety, a źródłem wiedzy – książki. Czy żyło się wtedy
prościej, czy nudniej? Jedno i drugie, a może ani jedno, ani
drugie?*

Julian Barnes, Elizabeth Finch, 2022

WRZESIEŃ

ANTEK

Mija długa chwila, nim Antek zorientuje się, gdzie się zbudził. Najpierw ma wrażenie, że jest w mieszkaniu dziadków na Dietla w Krakowie, a jeśli tak, trzeba się upewnić, czy sufit przecięty długą, rozstępującą się rysą pozostał na swoim miejscu. Ale nie chce mu się jeszcze otwierać oczu. Słyszy, że ojciec już nie śpi, wstał i zaraz ściągnie koc z okna. Nie ma jeszcze zasłon, koc musi wystarczyć. Czyli to dom. Gliwice, willa na Krzywoustego. Z łazienki dociera do Antka odgłos lejącej się wody. To Profesorowa. Wszyscy tak o niej mówią (tylko jedna jej znajoma, także profesorowa, zwraca się do niej „pani Zofio”). To jej kolej, po mamie, która już przed godziną pojechała do Zabrza, do biura. Porządek jest ustalony: po Profesorowej ojciec, dopiero po nim Antek wejdzie do łazienki i przekręci gałki kranów z wypisanymi na czarno literami: *warm* i *kalt*. Długo przypuszczał, że to normalne, widocznie w całej Polsce te napisy są po niemiecku.

Teraz można już popatrzeć na świat. Jego łóżko przylega do ściany. Kiedy obróci się w stronę światła, zobaczy swoje biurko stojące przy prostopadłej ścianie, dalej w prawo duże drzwi balkonowe i biurko ojca. A naprzeciw niego dwa duże, przylegające do siebie łóżka rodziców, nad nimi Chrystus, obok niego pamiątki – tableau naturalne ze Lwowa, rodzinne zdjęcia za szybą, brzydki góral narysowany węglem przez Władysława Skoczylasa. Na wprost nich wejście do pokoju jadalnego. W nim – oprócz prostokątnego stołu na środku – w rogu nieustająca od kilku lat atrakcja: telewizor na stoliku. A na wprost

drzwi – biblioteczka, w której ma już swoją półkę z dwoma rzędami książek. Odkąd przeczytał *Emila i detektywów*, Antek zalicza Ericha Kästnera do swoich ulubionych pisarzy. Ukochaną książką-wzorcem pozostaje *Serce Amicisa*, ale niemiecki autor ma pewną cechę, która go z Włochem łączy: pisze o tym, co zna z widzenia. Jakby słuchał rady starszego kelnera Nietenführa z *Emila*: że pisać można tylko o rzeczach, które widziało się na własne oczy. I właśnie wszystko, o czym się u Kästnera czytało, działo się w codzienności, którą relacjonował bez zadęcia, siadał i szast-prast zaczynał opowiadanie. W dodatku był od Amicisa zabawniejszy.

Zachwycił Antka już sam początek *Emila i detektywów*, w którym autor zwierza się, że zamierzał napisać zupełnie inną książkę – egzotyczną, o przygodach w krainie tygrysów, palm daktylowych i ludożerców, ale właśnie potrzeba pewności, że wie się, o czym mowa, naprowadziła go na opowiadanie o zwyczajnych chłopcach. Na tego Emila z miasteczka Neustadt, który na czas wakacji wysłany zostaje przez matkę do Berlina, żeby zawieźć babci pieniądze. Zwyczajności historii sprzyjały rysunki Bohdana Butenki, ujmujące bylejąkością po ilustracjach piękniejsia Szancera. Mogło się Antkowi wydawać, że tak jak rysuje Butenko, on też by potrafił. Podobnie odślaniał przed nim swój warsztat Kästner: pokazywał, jak z kawałków tworzy historię. I tłumaczył, o czym donosi prasa, w prosty sposób, który jednak Antkowi nie przyszedłby do głowy: „Wszystko, co się dzieje, dostaje się do gazety. Musi to być tylko trochę niezwykle. Jeżeli pan Miller jest przyzwoitym człowiekiem, nikt nie chce o tym wiedzieć. Jeżeli jednak pan Miller dodaje wody do mleka i sprzedaje taką lurę jako słodką śmietankę, dostaje się do gazety. Czy chce, czy nie chce”. Tak często czytał ten kawałek, że nauczył się go na pamięć.

Podobała się też Antkowi scena, w której okradziony przez złego współpasażera Emil postanawia się nie poddawać i samemu złapać złodzieja, wskakuje za nim do tramwaju, nie ma jednak pieniędzy na bilet, a konduktor biletu się domaga i nie chce słuchać wyjaśnień chłopca. Wtedy bez wahania płaci za jego bilet przypadkowy świadek sceny. Złodziej zostaje w końcu złapany przez Emila i bandę poznanych w Berlinie chłopców. Wtedy okazuje się, że dziennikarzem, który

z entuzjazmem opisał w gazecie całą historię, jest pan z tramwaju. Emil przypomina mu się i przedstawia:

„– Nazywam się Emil Tischbein.

– Ja nazywam się Kästner – powiedział dziennikarz i podali sobie ręce”.

Czytając te zdania, Antek czuł, że to najprostszy sposób autora, by budzić do siebie sympatię. Może nawet zbyt prosty. Ale nie miało się ochoty oskarżać go o autoreklamę. No i skoro już polubił Kästnera, dbał o to, żeby dostawać wszystkie kolejne jego książki. Kiedy miał czas, niektóre czytał od razu. Inne odkładał na wakacje.

Przez drzwi balkonu dociera słońce, jeszcze niezdecydowane, ale już widać, że to będzie ciepły dzień, jak wczoraj. Antek uwielbia ten balkon. Po jego prawej stronie jeszcze miesiąc temu można było zrywać wiśnie z rosnącego w ogrodzie drzewa. Na wprost widok na rozległy plac. W jego centrum mieści się wprawdzie ponura, dymiąca kotłownia, ale po lewej stronie – tył gmachu Wydziału Elektrycznego Politechniki, na wprost widoczne z oddali boisko kleryków, a na nim wyliczył sobie krokami sześćdziesięciometrową bieżnię. Nie jest to wyliczenie ściśle, ale na jego potrzeby wystarczy. W zeszłym roku dostał od ojca stoper, odtąd zapisuje w notesie swoje wyniki. Dziś po południu będzie tam biegał. A wieczorem zacznie czytać następną powieść Kästnera. Wstaje.

Szybkie śniadanie w kuchni z ojcem, Profesorowa jada w swoim pokoju. Odbywają rutynową rundę pytań i odpowiedzi. Ojciec nie przywiązuje wagi do szczegółów, za to kontroluje emocje syna. Nie pyta o stopnie; obserwuje, co Antka cieszy. Nie interesują go zapisane w jego notesie wyniki na sześćdziesiąt metrów; sprawdza, czy dotrzymuje własnych postanowień.

Po śniadaniu jedenastominutowa droga do szkoły, ma to policzone, lubi być na czas, na ostatnią chwilę. Najpierw kilkadziesiąt kroków chodnikiem po pustawej ulicy Krzywoustego. Po lewej wąski pas ziemi, za nim wzdłuż całej ulicy parterowy barak hotelu robotniczego; wieczorami dochodzą stamtąd czasem odgłosy awantur. Od prawej strony do chodnika przylega półmetrowej wysokości murek, za nim trawnik. Oddziela on ulicę od ogrodu przylegającego do domu Antka,

jedyne na całej ulicy, a potem od szarego gmachu Wydziału Elektrycznego Politechniki, ozdobionego na wysokości pierwszego piętra ceglastymi płaskorzeźbami, wyobrażającymi małe zwierzęta, na zmianę: raka, sowę, ślimaka, żabę, pszczołę. Chłopiec za każdym razem im się przygląda. Ulica przechodzi w plac przed Wydziałem, działający na Antka kojąco, bo tu nauczył się jeździć na rowerze.

Teraz pierwsze przejście przez jezdnię, ulicą Katowicką. Potem wejście w piękną, całą w zieleni ulicę Rugijską prowadzącą do czarnej, cuchnącej gliwickiej rzeki Kłodnicy; na jej drugim brzegu widać już domy ulicy Zimnej Wody, przy której mieści się szkoła Antka. Nie ma jednak na wprost od Rugijskiej żadnego mostu ani kładki, trzeba więc skręcić w lewo w Kaszubską i nią dopiero, obok budynku straży pożarnej, dojść do mostu. Za mostem, od skrzyżowania skręca się w Zimnej Wody, na której końcu jest szkoła. Antek przemierza tę drogę codziennie rano, a wraca dłuższą trasą, atrakcyjniejszą, przez Plac Krakowski.

Po szkole przychodzi do domu na obiad, który znów zjada z ojcem; mama wraca później. Obiad gotuje pani Anna; tak zwracają się do niej wszyscy domownicy. Przychodzi przed dziesiątą z zakupami, ścieli łóżka, sprząta, gotuje obiad, podaje go do pokoju stołowego, sama je w kuchni, myje naczynia, czeka na mamę, żeby ustalić z nią zakupy na następny dzień. W rozmowach ze znajomymi rodzice używają słowa „dochodząca”, „służąca” brzmiałoby brzydko.

Dochodzącymi są z reguły autochtonki. Antek poznał znaczenie tego obcego słowa pewnego dnia, kiedy mama wysłała go do pani Anny późnym popołudniem (nie mieli przecież telefonu). Na obiad następnego dnia zapowiedzieli się nieoczekiwani goście, trzeba było poszerzyć listę zakupów. Droga do mieszkania pani Anny przy ulicy Pszczyńskiej zajmowała więcej czasu niż ta do szkoły. Nie odległość jednak była barierą. Wraz z wejściem w obszar gęstej zabudowy Pszczyńskiej wkraczało się w inny świat. Tutaj nie było widać mężczyzn. Przed domami siedziały starsze kobiety w fartuchach i z żywieniem rozmawiały po niemiecku. W jednej z nich zaskoczony Antek rozpoznał panią Annę. Zmieszała się. Zaprosiła go do środka, do mieszkania na parterze. Wtedy poznał matkę pani Anny, o której istnieniu dotąd nie miał pojęcia. Była ubrana w domową suknię do kostek,

mówiła – inaczej niż córka – czystą polszczyzną i przedstawiła się jowialnie: Petronela. Wyczuwało się w niej ciepło. W kącie siedziała przy stole Trudka, córka pani Anny, którą Antek już znał; odrabiała lekcje, uczyła się w zawodówce. Sprawiała wrażenie, jakby wstydziła się za obie tamte kobiety – matkę i babkę. Pani Petronela zaproponowała Antkowi herbatę, na co przystał. To jednak wzmogło jeszcze sztuczność całej sytuacji. Opuszczał Pszczyńską zdumiony tym, co zobaczył.

Od pewnego czasu Antek pozwala sobie zwracać się do pani Anny *Frau*. Czasem dodaje zwrot *danke sehr, meine liebe Frau*, podслuchany w czasie obozu harcerskiego, na którym był w lipcu w NRD. Ona śmieje się wtedy, odpowiada *bitte sehr, mein lieber Junge*. Bawi ich ta komitywa, zaczęli więc mnożyć takie rytualne zwroty. Ot, choćby teraz, przed deserem: ojciec dostaje kompot, a Antek ma zamówioną herbatę, pani Anna uprzedza więc konfidencjonalnie:

– *Ja, ja*, jo wiym, pół herbaty, pół esencji, a pół wody.

Wzięło się to stąd, że chłopiec, odkąd zaczął cenić smak herbaty, upominał się o mocniejszą niż ta, którą podawano w domu. Prosząc o więcej esencji, pomylił się i tym właśnie omyłkowym zwrotem pani Anna parodiuje odtąd jego zamówienie. Ale rzeczywiście zaczęła mu parzyć mocniejszą herbatę.

Po obiedzie Antek odrabia pierwszą część lekcji. Zaczyna od czegoś, co wydaje się najprostsze, czyli od matematyki. Dziś nie ma wypracowania z polskiego; to by go wciągnęło i mogło uniemożliwić wyjście na boisko. A ma przed sobą ustaloną porcję treningu. Rok wcześniej, na olimpiadzie w Rzymie (pierwszej, którą można było oglądać w telewizorze), podpatrzył, jak lekko przyśpiesza na prostej triumfator dwustu metrów, okularnik Livio Berruti. Biegał elegancko, nie tak siłowo jak krajowy mistrz tego dystansu Marian Foik. Antek miał ten krok przed oczami i próbował go naśladować. Od olimpiady kupował też miesięcznik „Lekka Atletyka”, który kosztował aż pięć złotych, ale był świetnie redagowany (naczelnym był wielki trener Jan Mulak), równie ciekawy dla kibiców, jak dla adeptów.

Antek zrobił sobie notatki z artykułu Gerarda Macha (olimpijczyka z Helsinek) o treningu czterystumetrowców; bieganie na tym dystansie było jego marzeniem. Po rozgrzewce ze skakanką (skakankę

uwielbiał) – trening wytrzymałości tempowej: sześćdziesiąt metrów szybko, trucht, osiemdziesiąt metrów w tempie, znowu trucht, wreszcie sto dwadzieścia szybko. Mach zalecał dłuższe dystanse, ale Antek wolał dochodzić do nich stopniowo. Wciąż miał w pamięci, jak kompletnie stracił oddech po pierwszym przebiegnięciu pełnego okrążenia na prawdziwej bieżni; zupełnie go zatkało. Odtąd czuł, że skoro postanowił trenować sam, musi to robić racjonalnie, nie narzucać sobie zbyt dużego wysiłku.

Poczeka jednak jeszcze na wybiegnięcie z domu, żeby obejrzyć w telewizorze ulubioną audycję. To tylko dwadzieścia minut, *Pedagogika żartobliwa* Janusza Korczaka. Antek uwielbia jej słuchać. Właśnie bardziej słuchać, niż oglądać, bo czytający kolejne odcinki aktor Tadeusz Bartosik wydaje mu się na Korczaka za gruby. No ale czyta dobrze. Tytuł dzisiejszej: *Wczesnie spać*. Coś dla niego! Codziennie przecież walczy z rodzicami o pozwolenie na dłuższe czytanie przed snem. Jeśli dobrze rozumie, Korczak jest po jego stronie! Upewniwszy się o tym, może już wyjść pobiegać.

Tego dnia jednak wczesnie przerywa trening. Na pustym boisku pojawia się na rowerze Marek Fajman, podjeżdża do Antka.

- Cześć! Sam tak ćwiczysz?
- Próbuję. Mierzę sobie czas.
- Masz stoper, no, no.
- Dostałem od ojca. Zapisuję wyniki.

Marek kiwa głową z uznaniem. Wysoki i silny, trenuje w klubie koszykówkę, budzi respekt swoją fizyczną przewagą. Chodzi do VII b, równoległej do VII a Antka, w szkole widują się tylko przelotnie, ale zaprzyjaźnili się dwa lata wcześniej, kiedy znaleźli się na tej samej kolonii. Okazało się, że Marek czyta mnóstwo książek, czym zaimponował Antkowi. Znali te same filmy, Marek nawet więcej, bo jako wyższego wpuszczano go na seanse dozwolone od szesnastu lat. Lubią z sobą rozmawiać. Od czasu tej kolonii zaczęli się też odwiedzać. Oddziela ich dziesięciominutowy spacer, Antkowi wystarczyło dojść do końca swojej ulicy w odwrotnym kierunku niż do szkoły, skrócić w prawo Łużycką i po chwili był na Wrocławskiej, przy której mieszkał Marek z ojcem i starszym bratem. W dodatku ojciec przyjaciela

był lekarzem rodzinnym Antka i jego rodziców, popularnym w całej dzielnicy. Kilka lat wcześniej owdowiał; komentowano jego dramat. Kiedy Antek znalazł się po raz pierwszy w pokoju Marka po wizycie lekarskiej u doktora Fajmana, spytał go, czy płakał po śmierci mamy. Odpowiedział, że tak.

Teraz odzywa się z roweru:

– No dobra, nie musisz dziś już chyba dalej trenować? Może byśmy się wybrali do radiostacji? To ciekawa droga, ale daleko, samemu źle się jedzie.

Jasne, pomysł podoba się Antkowi. Sam nie wyprawia się w takie dalekie trasy, o radiostacji tylko słyszał. Biegnie więc do domu, uprzedza, że wróci trochę później i po chwili jest z powrotem. Nawykli już do wspólnej jazdy po mieście, płynnie zmieniają się na prowadzeniu. Tym razem jednak Antek nie zna większości drogi. Umówili się, że poprowadzi pierwszy, jakby jechał do szkoły, potem, za skrzyżowaniem nad Kłodnicą, w stronę Częstochowskiej (teraz nazywa się Gottwalda, ale nikt nie używa nowej nazwy) poprowadzi już Marek. Zna drogę wiaduktem, nad torami kolejowymi; dalej, kiedy już wjechali w Tarnogórska, przy której stoi radiostacja, mogą się na powrót zmieniać. Pędzą szybko, samochody rzadko ich mijają.

Nazywają to „radiostacja”, ale chodzi właściwie o ponadstumetrową drewnianą wieżę, od samego budynku radiostacji trochę oddaloną. Wiedzą, że to tutaj zaczęła się ostatnia wojna, przed wakacjami byli razem w Kinie X na NRD-owskim filmie *Tu radio Gliwice*, który o tym opowiadał. Czekaający w gliwickim Hotelu Haus Oberschlesien oficer hitlerowskiej służby bezpieczeństwa Alfred Naujocks, po otrzymaniu przez telefon umówionego hasła „Babcia umarła”, wtargnął wieczorem 31 sierpnia 1939 roku wraz ze swymi podwładnymi na teren radiostacji. Przedstawili się jako polscy bojownicy, sterroryzowali załogę, zastrzelili stawiającego im opór Ślązaka, Franza. Nazajutrz Niemcy oskarżyli Polskę o wywołanie wojny. Nazwano to prowokacją gliwicką.

Antek i Marek nie rozmawiają teraz o filmie. Niby to samo miejsce, ale sytuacja przecież odmienna. Kiedy po lewej stronie wyłania się nagle korpus wieży, podjeżdżają w jej kierunku. Nie można się dostać na teren radiostacji, uniemożliwia to drewniane ogrodzenie.

– Ostatnio też było zamknięte, ale myślałem, że wreszcie otworzą – tłumaczy się Marek.

Podjeżdżają kawałek dalej, żeby rozłożyć się na pustej polance. Wyjmują po butelce oranżady kupionej w sklepiku po drodze, smakuje teraz. Zaczynają rozmawiać o szkole. Marek opowiada o wyglupach kolegi z klasy, Stachowa, którego bezczelność drażni go, ale jednocześnie imponuje. Antek rad byłby zapytać o Basię Rosenzweig z VII b, której zamyślonemu uśmiechowi przygląda się często na przerwach, z daleka; intryguje go to, że nigdy sama się nie odzywa, tylko słucha koleżanek. Ale nie zdobywa się na to. Marek też zresztą nic nie mówi o dziewczynach.

– Co teraz czytasz? – pyta, na co Antek odpowiada z ożywieniem, że skończył właśnie *Emila i detektywów* i czeka na niego *35 maja*. – Mnie Kästner nudzi – oświadcza Marek. – Czytałem *Latającą klasę* i wydała mi się przesłodzona. Wszyscy tam są sympatyczni, nauczyciele idealni. Nie ma dziewczyn. Coś mi się nie zgadza. Ja czytam *Jeździec bez głowy*, brat mi polecił. Dzieje się na Dzikim Zachodzie, bohater jest łowcą mustangów, łapie je na lasso. Kapitalna rzecz, nie można się oderwać. Znasz to?

– Nie. Lubię westerny w kinie, ale do książkowych nie mogę się przekonać. Przestałem czytać *Winnetou*, kiedy mi ojciec powiedział, że Karol May nigdy nie wyjechał z Niemiec i wszystko o Dzikim Zachodzie zmyślił.

– Ale *Jeździec bez głowy* to co innego, napisał go Amerykanin, wszystko z pierwszej ręki. Pożyczę ci, jak skończę.

– A kto to właściwie ten jeździec bez głowy? Brzmi jak bajka, nie mam zaufania do takich pomysłów.

– To skomplikowane, za dużo musiałbym ci opowiedzieć. Zresztą nie doszedłem jeszcze do końca, ale już widać, że tajemnica wyjaśni się w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem.

– A film wczoraj oglądałeś? – zagaduje z kolei Antek.

Jasne, że Marek oglądał. Jemu także ojciec nie ogranicza dostępu do telewizora. Sprawa jest o tyle ekscytująca, że chodzi o francuski film *Niebezpieczne związki*. Nie jakiś skandaliczny, ale jednak... Scena łóżkowa sfilmowana dyskretnie, lecz jednoznacznie. Marek jest

jednak wspomnieniem filmu nie tyle podekscytowany, ile rozbawiony. Przypomina sobie komentarze pani Emmy, niziutkiej kobiety, która – w przeciwieństwie do Anny – nie jest „dochodzącą”, tylko mieszka u doktora Fajmana na stałe, w służbówce. Obie się zresztą znają i nieraz wzajemnie powiadamią, co kupują na obiad dla swoich państwa.

– Kiedy kobieta i jej kochanek zostali sami w pokoju – śmieje się Marek – zdenerwowanie pani Emmy rosło. Zabije ją! – przewidywała podniecona. – Zaraz ją zabije. Jakby się nie orientowała, w jakim celu oni idą razem do łóżka...

Obaj chłopcy też nie są tego do końca świadomi. No, może z grubsza.

Kiedy wieczorem Antek jak zwykle zasiada z rodzicami przed telewizorem, brakuje mu pani Anny. Ciekaw byłby jej komentarzy do „Dziennika”. Owszem, towarzyszy im Profesorowa, ale to co innego. Ona na ogół przy „Dzienniku” milczy; przekonała się już, że jej uwagi irytują ojca Antka, a sama słabo wytrzymuje jego naiwne poparcie dla obecnej władzy. Nauczyła się odpuszczać. W ogóle mało się rozmawia. Okres naiwnej fascynacji niewielkim odbiornikiem Wisła domownicy mają już za sobą.

Inaczej to wyglądało trzy lata wcześniej, wtedy Wisła wywołała prawdziwą sensację. Ojciec Antka – poznawszy w czasie urlopu inżyniera z warszawskich Zakładów Kasprzaka i udzieliwszy mu jakiejś konstrukcyjnej rady – nie tylko jako jeden z pierwszych w dzielnicy sprowadził do mieszkania na Krzywoustego telewizor, ale natychmiast zdołał go uruchomić. Ich mieszkanie na pierwszym piętrze odwiedzili w krótkim czasie wszyscy bliźsi i dalsi sąsiedzi. Pierwszy sprawdził jakość odbiornika profesor Kowalewski zza ściany (jakby nie było specjalista od urządzeń elektrycznych), który dopiero miesiąc później sprawił sobie nieco większy telewizor Belweder. Któregoś popołudnia zajrzał doktor Fajman, choć wszyscy akurat cieszyli się dobrym zdrowiem. Rodziców Antka zaczęła nawet odwiedzać zawsze zachowująca dystans pani Bobeszko, sąsiadka z parteru. Wtedy jednak nie było jeszcze miejsca na spięcia polityczne. Liczyła się nowość zjawiska, a dzięki ostrości obrazu nie przeszkadzał niewielki rozmiar ekranu. Dopiero z czasem, gdy zaczęto się oswajać z urządzeniem, pojawiły się dyskusje o tym, co zobaczono na ekranie.

Kiedy więc pojawia się najczęściej pokazywany w relacjach z zagranicy radziecki przywódca Chruszczow, Profesorowa nie może nie przypomnieć, co ten chłopiec-roztropiec wygadywał do lwowskich Polaków, kiedy wybrała się z mężem w październiku 1939 roku do Teatru Wielkiego na mityng z nową władzą (potem już opuszczali takie wydarzenia).

– Ale dziś musimy słuchać tego chłopka-roztropka, nie mamy wyjścia – kontruje cierpliwie ojciec.

Antek nie ma jeszcze wyrobionego zdania. Oczywiście sam puszcza dalej w obieg niezliczone dowcipy, których prześmiewczym obiektem jest Chruszczow (– Nikita, nażom jowo, nażom – zwraca się do męża podczas przyjęcia dyplomatycznego jego pocziwie wyglądająca żona. – Kawo? – Zrywa się znad talerza Chruszczow), ale kiedy w dzienniku przytacza się jego antyamerykańskie wypowiedzi, budzą one w Antku instynktowne poczucie bezpieczeństwa. Teraz na szczęście „Dziennik” się kończy, przychodzi pora na prognozę pogody, a przedstawiający ją zażywny redaktor Czesław Nowicki nazywany Wicherkiem jest lubiany przez wszystkich, choć jego przewidywania rzadko się sprawdzają. Na wieczornym filmie Profesorowa zwykle już nie zostaje, podobnie jak Antek, który wraca do lekcji albo do lektury. Ale przez pół godziny po „Dzienniku” wszyscy jeszcze zostają przed telewizorem. Przychodzi pora na ulubione programy: któryś z magazynów (popularnonaukową „Eurekę”, kulturalny „Pegaz”, polityczny „Peryskop”), a najchętniej oglądają teleturnieje, wśród których dwa – „20 pytań” oraz „Kółko i krzyżyk” – same stały się na pewien czas chętnie uprawianą rozrywką towarzyską.

Antek lubi zwłaszcza „20 pytań” prowadzone przez eleganckiego Ryszarda Serafinowicza. Trzeba zgadnąć ukryte hasło – wiadomo tylko, czy to „przedmiot pochodzenia ludzkiego, zwierzęcego, roślinnego czy materialnego” – po zadaniu nie więcej niż dwudziestu pytań, na które można odpowiadać „tak” lub „nie”. W studiu rywalizują trzy drużyny: matematyków, dziennikarzy i widzów. Zabawa skończy się po kilku latach, kiedy matematycy wymyślą metodę encyklopedyczną; wystarczy rozpocząć serię pytań od: „czy hasło znajduje się w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej między A a L?” i tak dalej, żeby

każda zagadka mogła zostać odgadnięta. Ale Antek z ojcem nie znają jeszcze na razie tego podstępu i na przeciąg parunastu miesięcy „20 pytań” staje się ich ulubioną zabawą. Po pewnym czasie ograniczą się do „przedmiotów pochodzenia ludzkiego”, czyli po prostu do zgadywania nazwisk sławnych ludzi. Grają w to najczęściej, kiedy – umówiwszy się pod jakimś pretekstem w katedrze ojca na Politechnice (mieści się ona przy końcu ulicy Konarskiego, o parę minut od szkoły Antka) – wracają stamtąd do domu przez Park Chrobrego.

Powiedzmy więc, że ojciec wybiera dla syna hasło Albert Einstein (bo oczywiście traktuje zabawę edukacyjnie; Antek wymyśla w odwecie zwykle nazwiska pisarzy albo sportowców, w czym czuje się mocniejszy). Jak można tego Einsteina zgadnąć, powiedzmy do dziesięciu pytań?

- Czy to jest mężczyzna?
- Tak.
- Artysta albo pisarz?
- Nie.
- Polityk albo sportowiec?
- Nie.
- Uczony?
- Tak.
- Z zakresu medycyny albo fizyki?
- Tak.
- Medycyny?
- Nie.
- Fizyk amerykański?
- Nie.
- Europejski?
- Tak.
- Laureat Nagrody Nobla?
- Tak.

Za dziesiątym strzałem może już pojawić się Einstein.

Gdyby ktoś go o to spytał, Antek wyznałby chyba, że ten Park Chrobrego uważa za najpiękniejszy na świecie! Jest taki rozległy, tajemniczy i tyle w nim ławek, tylko na nich siadać i czytać albo przyglądać się

drzewom. Ojciec nie wspomina ani słowem o Parku Stryjskim, mimo że na pewno przypomina go sobie w trakcie spacerów z synem. Antkowi jednak cała ta okolica wydaje się odwieczna i trwała. Park Chrobrego nad śmierdzącą rzeką Kłodnicą, ulice Konarskiego, Zimnej Wody, Rugijska i Krzywoustego, a w stronę centrum – Katowicka wzdłuż Placu Krakowskiego, dalej Strzody, no i w środku najważniejsza – ulica Zwycięstwa.

Do dziś pamiętam szok, jaki przeżyłem wkrótce po kupieniu pod koniec lat siedemdziesiątych książki *W cieniu Lorelei. Antologia wierszy poetów Republiki Federalnej Niemiec (do roku 1975)*. Wróciwszy do domu (już w Krakowie), bez wielkich nadziei zacząłem przeglądać ten tom w białej obwolucie, by w Spisie treści trafić na tytuł: *gliwickie dzieciństwo* – autor Horst Bienek, przekład Wilhelm Szewczyk. Zacząłem czytać:

Wspomnienie zimowego lasu
herszta zbójnickiego Pistulki
brudnej rzeki nieskorej w swym biegu
procesji Bożego Ciała
pijackiego wrzasku u Mańków sąsiadów
potem również: milczenie radia
strzały
krótco przed wielką wojną
To wszystko
kilka klatek
z prześwietlonego filmu

Kilka lat później przeczytałem powieść tego samego autora *Pierwsza polka*, a w niej scenę wieczornej przejażdżki rowerowej pary niemieckich nastolatków, Andreasa i Ulli, tarnogórską szosą. Ciotka wysłała Andreasa z zaproszeniem do swojej znajomej na wesele córki, jakie wyprawiała tego wieczoru w Haus Oberschlesien, najwytworniejszym hotelu w mieście. Zasiedziawszy się i wracając koło radiostacji, Andreas i Ulla stali się przypadkowymi świadkami niezrozumiałych dla siebie wydarzeń, w których czytelnik rozpoznawał słynną później

provokację gliwicką. W tamto wrześniowe popołudnie zajechaliśmy na rowerach z moim gliwickim przyjacielem w to samo miejsce, z którego raptem dwadzieścia dwa lata wcześniej Andreas i Ulla usłyszeli strzały. Krótka przed wielką wojną. Dopiero teraz uświadamiam sobie tę zbieżność.

PROFESOROWA

Profesorowa ostrożnie schodzi z pierwszego piętra gliwickiego ratusza. Stopień po stopniu, trzymając się poręczy. Te schody są wysokie. Przychodzi tu wypożyczać książki. Sama już nie pamięta, kiedy wymyśliła ambitny projekt nadrobienia wszystkich lektur Kaspra – tych w każdym razie, o których wiedziała, że kiedyś go zachwyciły (wciąż lubiła odtwarzać w pamięci iskry w jego oczach), a ona, uwikłana w codzienne zajęcia, nie zdążyła ich przeczytać. Teraz właśnie oddała ostatnią z serii powieści historycznych Emila Ludwiga, jednego z ulubionych autorów męża. Na to miejsce niosła z sobą do domu dwa pierwsze tomy *Jana Krzysztofa* Romain Rollanda, choć z góry wiedziała, że za pasjami muzycznymi Kaspra i tak nie nadąży.

Z mieszanymi uczuciami przeczytała *Syna człowieka* Ludwiga; to nie to, co jego świetny *Napoleon*. Choć na pozór temat powinien jej być bliższy. I sama realizacja zamiaru, by zmieścić w jednym krótkim tomie wszystkie te Chrystusowe reguły, które zawsze starała się mieć w pamięci, z najważniejszym dla niej zdaniem „Co tobie niemiłe, tego nie czyn innym”, powinna była jej wystarczyć. Jednak *Syn człowieczy* nie spełnił jej oczekiwań. Drażniły ją oczywiste biograficzne odstępstwa. Przecież wiadomo, że Chrystus był jedynakiem, musiał być jedynym synem Marii. A u Ludwiga miał liczne rodzeństwo, takie rzeczy psuły jej przyjemność. Ale końcowy rozdział o pojedynku z Piłatem wywarł na niej wrażenie. Tak właśnie to sobie wyobrażała: że Piłat musiał ulec urokowi Chrystusa. „Jednej godziny rozmowy z Piłatem byłoby dość, a byłby poszedł za nami” – zapamiętała sobie to zdanie.

Przed nią była droga z Rynku do domu, którą nauczyła się już pokonywać automatycznie. Nawet naturalność zdania „wracam do domu”

przestała ją dziwić. Dom to dom, tak się po prostu mówi. Na karykaturalność tego sublokatorskiego pokoiku, który jej przypadł, nie miała przecież wpływu. Przez długi czas była przekonana, że po rozstrzelaniu męża i syna jej dalsze życie straciło sens, zaczęło być skandalem. Ale miesiące mijały. Żyła. Budziła się w nocy w tym swoim obcym pokoju, którego ubóstwo początkowo jej uwłaczało. Z czasem zaczęła rozpoznawać sprzęty jako swoje. Taki los jej przypadł, z każdym mijającym rokiem czuła się z nim mocniej pogodzona.

Dzisiaj także pokonuje tę drogę automatycznie, co nie znaczy, by nie miała na niej ulubionych punktów. Zaraz po opuszczeniu ratusza przystaje na chwilę, by objąć perspektywę długiej ulicy Zwycięstwa. Rażą ją oczywiście czerwone tramwaje po łagodnej, niebieskiej barwie lwowskich; ale czar wielkomiejskości dodaje jej otuchy. Potem ulica Matejki prowadząca z Rynku do pasa zieleni wokół Kościoła Piotra i Pawła; zakręt tej ulicy wydaje się jej bliski, sama nie wie dlaczego. Kiedy dalej przechodzi Stawową, przy której mieszka Ludka, lubi zaglądać do niewielkiego ormiańskiego kościółka; pewnie, że to nie to samo, co piękna lwowska katedra ormiańska, jakoś jej ją jednak przypomina, zwłaszcza kiedy czasem spotyka w środku księdza Roszko i przez chwilę sobie wspominają. Najnudniejszy i najbardziej męczący jest końcowy odcinek trasy, ulicą Łużycką, ale i tutaj uśmiecha się do siebie na sam widok kolejnego – Kościółka Świętego Michała na rogu Krzywoustego – który stał się ostatecznie jej kościołem.

Przez dwa-trzy pierwsze lata, odkąd trafiła do Gliwic, cała ta droga wydawała się jej odrażająca. Wszystko było obce, żadnego porównania ze swojskim spacerem po Lwowie. Już sam krótki odcinek od ich mieszkania na początku Romanowicza do jej ulubionej ulicy Akademickiej – jaki barwny! Kiedy wyruszała na spacer z Kasprem pod rękę, trzymali się prawej strony, wtedy przecinając Łozińskiego i Fredry mijali Kawiarnię Szkocką, co dawało mężowi okazję przytoczenia jakiejś najświeższej anegdoty o tym, jak profesor Steinhaus zapisał całe równanie na serwetce, a profesor Banach odpowiedział mu na swojej, tylko trochę mniejszej. Kolejni mężczyźni kłaniali się Kasprowi, on też przed każdym uchylał kapelusza; żartowała, że powinien przez całą drogę trzymać go w ręce. Ale kiedy szła sama albo wcześniej, kiedy

prowadziła za rękę Józefa, wybierała lewą stronę: wtedy zawsze przystawała przez chwilę przy pomniku Fredry, by z daleka objąć wzrokiem katedrę. Potem, po minięciu apteki i Kina Rialto, można było zejść na ciastka do Cukierni Zalewskiego. Dalej Kino Chimera i pokój śniadankowy Teliczkowej, który jednak – mimo jego sławy – zawsze omijała, bo u nich śniadania jadało się w domu. Teraz już tylko piękny gmach Banku Związkowego, a za nim najbardziej gwarna część miasta: Plac Mickiewicza, dalej długa, rozdwojona aleja z widokiem na teatr. Można ją było przejść środkiem, przez Wały Hetmańskie, ale w dni powszednie wybierała zawsze lewą stronę: ciąg sklepów na Legionów, tu zawsze było coś do załatwienia. Potem pod teatr i Hetmańską z powrotem. Korso.

Teraz wchodzi wolno z Łużyckiej w ulicę Krzywoustego i od domu dzieli ją już tylko sto kilkadziesiąt kroków. Zagląda jeszcze na swoją grządkę w ogródku przed domem; po drodze zrywa begonie dla pani Ireny, a przed wieczorem będzie musiała na nowo podlać wszystkie kwiaty. Na szczęście drewniane schody na pierwsze piętro, choć skrzypią, są znacznie wygodniejsze od tych w ratuszu. Wraca do siebie, na wczesny, jak zawsze, obiad. Zupa została jej z wczoraj, tylko podgrzać. Na drugie danie wystarczy umyć sałatę i dodać trochę oliwy, a na deser przygotowany wcześniej kisiel. Jada teraz coraz mniej. Potrzeba było paru lat, zanim dogadały się ostatecznie z pokojówką jej współlokatorów. Pani Anna jest milkliwa i nieufna, przyzwyczajona do stawiania na swoim. Nie to, co Jadwinia, ostatnia lwowska służąca Profesorowej, młoda i uprzedzająco grzeczna, trochę bezbarwna. Służaczka Anna ma swoje lata i trudno przewyciężyć jej upór. Na szczęście zachowała wewnętrzną pogodę, co zaczyna ją skłaniać do ustępstw.

– Będzie pani jeszcze potrzebny ten palnik, pani Anno, czy mogę go teraz zająć?

– *Ja, ja, róbcie se tukej, jo terazki ida oszkrobać kartofle.*

Dzięki tej komitywie Profesorowa coraz częściej pozwala sobie na kierowanie do Anny próśb, którym ta nie odmawia.

Akurat kilka dni temu poczuła się gorzej i nie miała dość sił, by złożyć imieninową (Ireny!) wizytę profesorowej Walkowiczowej. Lubi ją

bardzo, najbardziej chyba z wszystkich lwowskich znajomych, które jej zostały. Za jej stały uśmiech, wymagający – w jej obecnej sytuacji rodzinnej – prawdziwego hartu ducha. Właśnie konfrontacji z chorobą profesora Walkowicza Profesorowa się obawia. Od jego udaru minęło już dwanaście lat, ale nie zdołano przywrócić mu zdolności mówienia. Przyglądanie się, jak ten błyskotliwy i wciąż przystojny mężczyzna – starając się dobrze wypaść – bełkoce, przekracza siły Profesorowej. Dzień wcześniej uprosiła więc Annę, by powiadomiła panią Walkowiczową, że z powodu niedyspozycji nie dotrze na Kaszubską na imieniny, za to zaprasza solenizantkę do siebie, na czwartek, poza porą wtorkowego *jour fixe*'u; ma ochotę pobyć trochę z samą panią Ireną. Wymagało to od Anny nadłożenia drogi, za to spacer był ładny: z Krzywoustego pięć minut prosto na Kaszubską, z powrotem kwadrans przez Redena na Pszczyńską.

No i właśnie dziś jest czwartek, Profesorowa czeka na Walkowiczową, która ma ją odwiedzić o trzeciej po południu. Przygotowała bukiet różowych begonii, które sama wyhodowała na swojej grządce. Wypiła herbatę. Załączyła radio. Przebrała się w swój ciemny kostium. Nieodmiennie jeszcze przygnębia ją widok wnętrza szafy. Słabo już pamięta szafę z Romanowicza, ale niektóre stroje przywołuje czasem w pamięci, zwłaszcza jasne sukienki i bluzki, które zostały we Lwowie. Samo pakowanie przed kolejową podróżą w nieznane zatarło się jej w pamięci. Ukłuło ją teraz uczucie zazdrości wobec pani Ireny: ona przecież wróciła ze Lwowa całą rodziną, z mężem i synami. Przez delikatność nie wracały do tych wspomnień. Może dziś uda się je przywołać?

W popołudniowych wiadomościach nagle przykuwa jej uwagę komunikat: wczoraj wieczorem pod Łodzią zginął reżyser Andrzej Munk, na jego auto najechała ciężarówka. Nie dożył nawet czterdziestu lat. Co za absurdalny wypadek! Musi zaraz podzielić się tą wiadomością z panią Ireną. Niedawno, chyba wiosną zeszłego roku, były razem w Kinie Bajka na *Zezowatym szczęściu*. Jej samej film się nie podobał. Nie wszystko może być tematem żartów, na pewno nie bombardowanie, jak w tym filmie. Nie zaakceptowała też Kobieli, który szarżował prawie jak kłown w cyrku, gorzej od Dymszy; a ona lubi umiar. Pamięta jednak, że Irena była zachwycona; wszystko jej się w filmie

podobało, chwaliła gagi, Kobięłę i zwłaszcza reżysera Munka, za inteligencję. Profesorowa tak ją lubi, że prawie dała się przekonać.

No i teraz pukanie; gwałtowność dzwonka nie pasowałaby do pani Ireny. Profesorowa sama wychodzi do korytarza ją przywitać. Nie wie, ile lat dokładnie ma ta jej znajoma. Pewnie jest o całe pokolenie od niej młodsza, zawsze zadbana, pachnąca, uśmiechnięta.

– No i jak pani się czuje, Zofio? Lepiej dzisiaj? Przyniosłam parę kawałków tortu z moich imienin, powinny smakować. I jeszcze ten słowiczek: kupiłam w Delikatesach na Zwycięstwa nowość, którą zaufana sprzedawczyni bardzo mi zachwalała. Nazywa się keczup. Nie wiem właściwie, jak się wymawia, czy keczap z angielska. Ale pisownia jest polska, więc chyba keczup, podobno to jest zresztą chiński przepis. Taka przyprawa pomidorowa do ryb albo mięs, rzeczywiście smaczna, delikatna.

– Bardzo dziękuję, mam nadzieję, że nie będzie to za kwaśne. A ja mam dla pani kwiatki z mojej grządki, które miałam przynieść z sobą.

Siadają. Pani Irena, jak zawsze, chwali jeden z dwóch wiszących tu pejzażyków Stanisławskiego, ten, na który „nie może się napatrzeć”. Profesorowa dzieli się z nią świeżą wiadomością z radia.

– Tak, ja też usłyszałam o tym dziś rano i od razu przypomniało mi się to nasze wspólne kino. Nigdy nie mogę się pogodzić z informacjami o czyjejs nagłej śmierci. A przecież w gruncie rzeczy człowiek powinien być gotowy zawsze, w każdej chwili. My coś o tym wiemy, prawda?

– Sama myślę o tym coraz częściej, pani Ireno. Że już muszę być gotowa. Kiedy usłyszałam, że on nie miał jeszcze czterdziestu lat, od razu pomyślałam, że sama mam siedemdziesiąt sześć i ciągle żyję. Tam ginie człowiek aktywny, zdolny, w pełni sił, który tyle mógł jeszcze zrobić wartościowego, a ja, o trzydzieści sześć lat starsza, ciągle żyję. Jaka to okrutna niesprawiedliwość!

– Nie, pani Zofio, nie zgadzam się. Proszę mi wybaczyć, ale taka licytacja nie ma sensu. Jeśli o którejs z nas można mówić, że ma szczęście, to najwyżej o mnie. Kiedy dwa miesiące temu pokazano nieoczekiwanie w telewizji program na dwudziestolecie zamordowania lwowskich profesorów, przez cały wieczór myślałam o pani. Nie

potrafię sobie nawet wyobrazić, co pani wtedy przeżyła. Samo myślenie o tym jest nieludzkie.

Profesorowa czuje wdzięczność dla swojej rozmówczyni. Nigdy jeszcze chyba nie poruszały tak bezpośrednio tego tematu; wszyscy wiedzieli, że w rozmowach z nią wypada go unikać. A ona akurat dzisiaj ma dziwną potrzebę przypomnienia tamtego wieczoru. 3 lipca minęło dwadzieścia lat! Dwadzieścia lat od chwili, kiedy usłyszeli wieczorem walenie do drzwi i wpuścili do mieszkania trzech gestapowców, oficera i dwóch podoficerów w tych ich eleganckich szarozielonych mundurach. Nikt się ich nie spodziewał, choć pewnie należało. Mieli puste twarze bez wyrazu, wydawali rozkazy automatycznie. Oficer sprawdzał personalia ich obojga, zaglądał do jakichś papierów, które wyjął z teczki. A ona myślała tylko o tym, co teraz zrobi Józef, który akurat wszedł do łazienki; odwiedził ich tamtego wieczoru, trochę się zasiedział, no a od dwudziestej pierwszej była godzina policyjna, więc został na noc. Szczęśliwie się nie ruszał. No nie, wyszedł jednak, jakby nie wytrzymał.

– A pan to kto? – spytał oficer, wciąż tym samym obojętnym tonem.

– Jestem synem. Odwiedziłem dziś rodziców, to chyba wolno?

Wtedy hitlerowiec uderzył Józefa w twarz. I ostro zakomenderował:

– Stanie pan tam pod ścianą, obok matki.

Oficer dalej przeszukiwał Kaspra, z absurdalną dokładnością przeliczył jego gotówkę, ułożył na biurku ołówki, ekierki, cyrkle. Czuło się, że jest zaskoczony biegłą niemczyzną Kaspra, i że drażni go jego wyniosła uprzejmość. Zapytał o niemieckie nazwisko, czy jego ojciec nie był przypadkiem Niemcem. Nie, w żadnym wypadku, był Polakiem, tyle że austriackiego pochodzenia. Jak wielu ludzi w Galicji.

– Galicja jest niemiecka! – zachnął się oficer.

Kazał Zofii przynieść całą biżuterię; zdjęła pierścionki i kolczyki, położyła je na biurku obok przyrządów męża. Zapytał, czy to wszystko. Nie, nie wszystko. Przyniosła więc jeszcze złoto ze szkatułki, którą trzymała w swoim pokoju. Znowu kazał jej stanąć pod ścianą. Pozostali dwaj gestapowcy hałaśliwie wyprowadzili Kaspra i Józefa. Pod samymi drzwiami Kasper odwrócił się jeszcze i uśmiechnął się do niej, jakby chciał powiedzieć, żeby się nie martwiła. Oficer zatrzasnął za sobą drzwi.

To wszystko. Została sama. Po chwili usłyszała odgłos odjeżdżającego samochodu.

Położyła się, chyba dość długo się trzęsła, nie mogła się uspokoić, w końcu jakoś zasnęła. Czekał ją straszny dzień, kiedy kompletnie nie wiedziała, co robić. Zaraz rano poszła na Pełczyńską na gestapo, żeby się dowiedzieć, co zrobili z jej mężem i synem. Gestapowiec na dyżurce oświadczył, że nic nie wiedzą. Po kilku dniach zatelefonowała do niej profesorowa Łomnicka, żona Antoniego Łomnickiego, z którym Kasper był najbliższym spośród aresztowanych tamtej nocy. Zapytała, czy może Zofię odwiedzić. Po chwili przyszła, żeby ją powiadomić, że wie z pewnego źródła o rozstrzelaniu całej grupy ujętych tamtej nocy, na Wzgórzach Wuleckich. Wśród nich byli ich mężowie. Zaraz potem zewsząd zaczęły dochodzić wiadomości potwierdzające tę straszną wiadomość. Musiała przestać się łudzić. Jeszcze przez kilka lat, co najmniej do końca wojny, stale miała przed oczami ostatni uśmiech Kaspra, zanim zatrzęsnęły się drzwi.

Kiedy przed dwoma miesiącami pokazano w telewizji, zaraz po „Dzienniku”, program o tej lwowskiej zbrodni, Profesorowa opuściła pokój i wróciła do siebie. Ale kiedy się położyła, przypomniała sobie cały tamten wieczór, minuta po minucie. Gdy zostawała sama, to wspomnienie stawało się znośne. Zresztą niejednym raz musiała je już relacjonować. Przeżyła przecież Krysią, żona Józefa. Wyszła drugi raz za mąż, mieszkając z mężem w Jeleniej Górze. Niby utrzymuje kontakt z synową, ale to już nie to samo. Nie rozumie radosnych opowieści o nowinach z jej życia. Teraz odczuwa ulgę, że Irena jej wysłuchała.

Dopytuje o zdrowie jej męża. Ta się uśmiecha: jest trochę lepiej. Właśnie kilka dni temu była z Włodzimierzem w Zabrze, na badaniach w tamtejszej klinice. Nie wypadły najgorzej. To zresztą widać na co dzień: ostatnio podczas przyjęcia imieninowego siedział z gośćmi do końca i uczestniczył w rozmowach.

– Chyba jednak cały proces powrotu do zdrowia po udarze przebiegałby bez porównania szybciej, gdyby zaraz po wojnie władze zaakceptowały wybór pani męża na rektora Politechniki. Jego pozycja byłaby całkiem inna, wysłano by go na leczenie na Zachodzie. Była przecież mowa o kuracji w Szwajcarii...

– Rzeczywiście, Maciej stale o tym wspomina. – Pani Irena unosi brwi. – Ale powracanie do tamtych żalów nie ma już sensu. Jest jak jest. Trzeba się cieszyć z obecnej poprawy.

Nawiązują do wydarzeń sprzed piętnastu lat, kiedy doszło do wolnych wyborów rektora Politechniki. Profesor Walkowicz cieszył się wyjątkową sympatią w środowisku akademickim Gliwic, od profesorów po studentów; nikt inny nie miał takiego autorytetu. Profesorowa podzielała tę opinię. Pamiętała, jak jej imponował ten o całe dwadzieścia lat młodszy kolega jej męża. W porównaniu z Kasprem był chłodniejszy, zawsze zdystansowany, ironiczny, pewnie skłonny do ugody. Ale jednocześnie miał wewnętrzną siłę. Czuło się, że kiedy dojdzie do spraw zasadniczych, ten człowiek potrafi powiedzieć „nie”, z wszystkimi tego konsekwencjami. I mówił to najpierw Sowietom, potem hitlerowcom. Jak to się stało, że nie znalazł się na tajnych listach tych ostatnich i nie podzielił losu Kaspra? Opowiadano, że te listy opracowywano na podstawie donosów studentów ukraińskich; a ci mogli wyczuć tolerancję Walkowicza dla ich narodowej odrębności. Może zresztą uratował go nieodłączny ironiczny uśmiech?

Ale po wojnie ta ironia mu już nie pomogła. W 1946 roku został wybrany na rektora dużą większością głosów, mając jednoznaczne poparcie całego środowiska naukowego. Nowa władza nie zatwierdziła jednak tego wyboru. Według powszechnej opinii zadecydowała jego stanowcza odmowa wstąpienia do partii. Kiedy teraz w rozmowie wracają do tych wydarzeń, Profesorowa czuje się zdezorientowana. Spodziewała się po pani Irenie choćby cienia twardości. Ale nie, jej uśmiech wskazuje, że skłonna jest wszystko wybaczyć. Stało się, jak się stało, nie wracajmy... Pilnuje się, żeby znajoma nie dostrzegła tego ukłucia zazdrości, które czuje teraz, już drugi raz w ciągu jej wizyty. Tym razem nie o to, że jej mąż i synowie przeżyli, że są teraz w Gliwicach w komplecie, w czwórce. Do zgody na to miała czas przywyknąć. O co innego jest zazdrosna. O to, że Walkowicz okazał się do końca nieugięty. Że nic się już w tej kwestii nie zmieni. A nie jest pewna, jak w takiej sytuacji zachowałby się jej – zawsze ujmujący w kontaktach z ludźmi – Kasper. Czy on również potrafiłby powiedzieć „nie”? Profesorowa obawia się, że pani Irena wyczuwa w niej ten brak pewności.

WOJTEK

Wojtek wybiega z budynku Wydziału Budownictwa, w holu kiwa jeszcze porozumiewawczo do znajomej portierki, starszej pani, z którą zwykli się przekomarzać po śląsku. Nie zdołał załatwić tego, o co prosił go szef katedry, profesor Kaufman. Miał się dodzwonić do jakiegoś inżyniera w sprawie obiecanej dostawy stali zbrojeniowej. Nie zastał go, inżynier ma być dostępny po dziesiętnastej, trzeba więc będzie zatelefonować z radiowęzła przy Łużyckiej. Sam Wojtek nie interesuje się oczywiście stalą zbrojeniową, ale wie już, jak taka stal wygląda, zdążył sprawdzić. Musi wspomagać finansowo matkę; skromna pensja laboranta przy Katedrze Budownictwa Żelbetowego zapewnia mu to.

Spóźni się teraz na mecz na boisku kleryków, ale mecz także nie za bardzo go interesuje. Pasjonuje go teatr, który założyli tu nieopodal, w Klubie Spirala przy Kinoteatrze X. A ludzie z radiowęzła, z którymi umówił się na meczu, stanowią część tego samego fajnego środowiska. To studenci miejscowej Politechniki, którym technika nie wystarczy. Potrzebują czegoś więcej: czytają, słuchają, działają. Wojtek dobrze się w tym towarzystwie czuje, choć nie do końca jest jego częścią. Nie studiuje, nie ma jeszcze matury. A jak już ją zda, to przecież nie tutaj będzie studiował. Na razie nie jest jeszcze gotowy.

Od boiska kleryków dzieli go niewielka odległość. Przebiega pustą ulicę Krzywoustego, skręca przez drzwiczki w ogrodzeniu jedynej na tej ulicy willi, przechodzi przez ogród i wielki plac węglowy, na którym niedawno coś załatwiał na zlecenie profesora, i wpada już na boisko. Mecz się zaczął. Boisko jest niewielkie, należy do pobliskiego seminarium duchownego i na co dzień grywają na nim klerycy. Ale przylega do – prostopadłej do Krzywoustego – ulicy Łużyckiej, przy której od kilku lat stoją trzy akademiki, jeden żeński i dwa męskie. W środkowym męskim działa radiowęzeł nadający codziennie ogromnie popularny program radiowy. Uczelnia dogadała się z kurią i przez dwa dni w tygodniu, w czwartki i niedziele, boisko jest udostępniane studentom. Oni zaś założyli ligę i zorganizowali regularne rozgrywki.

Szczupłość boiska pozwala na grę drużynom siedmioosobowym, jakby to była piłka ręczna. Bramki także są mniejsze od siedmiometrowych na stadionie, ale trochę większe od tych do szczypiorniaka. Dziś założono w nich siatki, co wygląda profesjonalnie. Dla publiczności jednak pozostają tylko miejsca stojące, naturalna więc była inicjatywa sprawozdań dla radiowężła z każdego meczu ligowego. Wybór sprawozdawcy okazał się tak trafiony, że relacji na żywo słuchają z wypiekami na policzkach mieszkańcy wszystkich trzech akademików, z żeńskim włącznie. Właśnie spotkanie z Mariuszem, sprawozdawcą, jest dla Wojtka dodatkowym powodem wizyty na meczu.

Mariusz usadowił się za jedną z bramek, na podwyższeniu, żeby mieć widok na całe boisko. Tęgawy, niewysoki, o charakterystycznej twarzy, prowadzi relację całym sobą, poddając się emocjom i podgrzewając jednocześnie emocje słuchaczy. Najwyraźniej zna wszystkich graczy po imieniu, choć ich koszulki nie mają numerów, różnią się tylko barwą. Wojtek orientuje się, że grają drużyny FC Barcelony i Dukli Praga. Kiedy przyszedł, Barcelona prowadziła już 1:0, po chwili jej środkowy napastnik, Paweł, strzelił drugą bramkę. Zauważa swego kumpla z radiowężła, Zygmunta, także stojącego po tej stronie bramki. Będą się trzymać razem do wieczora.

Witają się w przerwie, kiedy doping widzów na moment słabnie.

– Po meczu spotykamy się w akademiku, w salce naprzeciw radiowężła – powiadamia Zygmunt. – Mariusz zaprasza na poczęstunek, świętuje z jakiejś okazji. Zdaje się, obronił dyplom. Ale uprzedza, że impreza będzie krótka, bo musi nie bardzo późno dotrzeć do Katowic, do swojej dziewczyny. O tyle dobrze się składa, że ja przed dwudziestą pierwszą idę na „Kobrę”, tu niedaleko, do znajomych.

Wojtek upewnia się, czy będzie mógł pójść z nim. W sali telewizyjnej akademika jest zbyt wielki ścisk, nic nie widać.

– Pewnie. Myślę, że nie będą mieli nic przeciwko twojej obecności, to mili ludzie. Poczekaj, stoi tu ich syn, Antek, zapytam go.

Zygmunt przedstawia Antka Wojtkowi. Chłopak ręczy, że oczywiście, wszyscy w domu oglądają. Uprzedza, że na „Kobrę” zawsze przychodzi Profesorowa, ale pomieszczą się razem przy telewizorze. Panowie mogą przyjść przed samą 20.40, kiedy zaczyna się spektakl.

Wojtek prostuje.

– Jak jesteś po imieniu z Zygmuntem, to do mnie mów Wojtek. Ile ty masz lat, dwanaście?

– Dwanaście – potwierdza Antek.

– To na tyle wyglądasz. A ja mam dziewiętnaście. Za mała różnica, żebyś mi mówił pan. Komu tu kibicujesz?

– Mnie wszystko jedno, Barcelona czy Praga. Przychodzę słuchać sprawozdań pana Mariusza. Jest prawie tak dobry jak Bohdan Tomaszewski, dużo lepszy od Witolda Dobrowolskiego.

Mecz skończył się wynikiem 3:1. Paweł strzelił jeszcze jedną bramkę dla Barcelony, a w końcówce mały, zwinny obrońca zdobył honorowego gola dla Dukli. Ekipa radiowęzła skupiła się wokół swego komentatora. Wojtek komplementował Mariusza, który – wciąż z mikrofonem i kablem w ręce – siedł z nim razem w kierunku radiowęzła na Łużyckiej.

– Ależ ci to wychodzi! Skąd znasz tych wszystkich zawodników?

– Nie jestem pewien, czy z każdym imieniem trafiam. Ale dbam o konsekwencję: jak raz o kimś mówię Edward, to już potem zostaje Edwardem. Mówili ci, że teraz zapraszam na poczęstunek?

– Tak jest. Podobno skończyłeś swoją słynną pracę dyplomową o odsalaniu wód kopalnianych w Kopalni Makoszowy?

– Nareszcie skończyłem. Trochę w niej nazmyślałem, więc nie jest wielkim powodem do dumy. Okazja do świętowania jest inna. Wyobraź sobie, wracam po tym egzaminie do akademika, a portier mi mówi, że czeka na mnie jakaś korespondencja. To był oficjalny list z Radiokomiteu, na firmówce. Zawiadomienie, że wygrałem radiowy konkurs na sprawozdawcę sportowego, o którym zdążyłem już zapomnieć, i mam przybyć do Radia Katowice na spotkanie z redaktorem Witoldem Dobrowolskim. Termin wypada akurat jutro rano, więc pojadę jeszcze dziś wieczorem, przenocuję u Bożeny.

– Czyli zaczynasz poważne życie zawodowe, gratuluję! A kto będzie za ciebie odsalał kopalnie?

– Inżynier i tak byłby ze mnie marny. Choć mój zabity w Katyniu ojciec, Karol Walter, który był sędzią we Lwowie, wolałby pewnie widzieć mnie na solidniejszej posadzie niż radio.

– Nie wiem, czy masz rację. Mój tata też pewnie nie przepadałby za mną radiowcem, ale podobałoby mu się, że robię to, co lubię.

Rozmawiając, doszli do męskiego akademika B. Minęła właśnie dziewiętnasta i radiowcy – po relacji sportowej – zaczęli swoją codzienną audycję ze studia, więc nie można im przeszkadzać w pokoju radiowężła ani w oddzielonej od niego szybą amplifikatorni, gdzie stoją przemyślnie z sobą połączone magnetofony, odbiornik radiowy i wzmacniacze. Zbierają się po drugiej stronie korytarza, w tak zwanym pokoju gościnnym. Dziewczyny robią kanapki, pozdrawia wszystkich uśmiechnięta Krysia, narzeczona Zygmunta. On sam pomaga jeszcze kolegom przy sprzęcie w amplifikatorni, jako jedyny człowiek wiedzący wszystko o technice radiowej. Mariusz pyta oczami Stefana, szefa radiowężła, czy ma. Ten uspokajająco kiwa głową, że ma, oczywiście. Stefan, jako człowiek posiadający dojsca, robi stale zakupy w sklepie górniczym, nie miał więc trudności z nabyciem killkunastu butelek węgierskiego Egri Bikavera; właśnie je wyjmuje ze swojej tajnej szafki, po czym sprawnym ruchem wybija korek z pierwszej butelki i daje znak dziewczynom, że pora na kieliszki. Pojawia się z powrotem Zygmunt, Stefan może już wznieść toast.

– Drodzy moi, oto ważna chwila w krótkich dziejach naszego radiowężła. Jeszcze nie doczekaliśmy pięciolecia, a już nasza ekipa zaczyna się przeredzać. Dziś żegnamy najzdolniejszego spośród nas. Mariusz dopiero co został dyplomowanym inżynierem, a już od razu porzuca ten zawód, by zdobywczo wkroczyć w rejony radiowego zawodownictwa. Twoje zdrowie, Mariuszu! Mam nadzieję, że nie zapomnisz o ulicy Łużyckiej.

Wszyscy zebrani kosztują wina, dziewczyny intonują *Sto lat*. Mariusz jest ulubieńcem zespołu. Nie dość, że fajny i sprawny zawodowo, to jeszcze z przedwojennymi manierami. Każdą dziewczynę całuje w rękę, kłania się grzecznie portierkom. Teraz zapewnia, że choć pokój w akademiku musi wkrótce opróżnić i przeprowadza się do Katowic, to współpracy z radiowężłem nie zerwie przecież z dnia na dzień, zanadto do niej przywykł. Stefan dopytuje o perspektywy pracy w katowickim radiu. Mariusz wyjaśnia, że najbardziej liczy na opiekę Witolda Dobrowolskiego, bo to fachura i przy tym człowiek

wykształcony, z humanistyczną ogładą. Póki co, ma zdaje się robić sprawozdania, czyli właściwie to, co u kleryków, ligowa młócka. Będzie więcej nazwisk do zapamiętania, na razie zna na pamięć tylko skład Polonii Bytom, bo to swoi, jakby Pogoń Lwów, tyle że po drugiej stronie granicy. Polonii kibicują i Lwowianie, i Ślązacy.

Wojtek daje znaki Zygmunutowi, że musi zadzwonić, ten wyprowadza go i kieruje do tajnych zakamarków na zapleczu portierni. Tam jest radiowęzłowy telefon, rzadkie dobro. Wojtek nie tylko nie ma go w domu, ale nie zna nikogo, kto by miał. Zamawia połączenie z Katowicami, trwa to chwilę, Zygmunt zostawił go tu samego. Udało się, zastaje faceta od stali zbrojeniowej. Ten pamięta o zamówieniu profesora, dostarczy zgodnie z umową, powinna być na poniedziałek. Wojtek wraca do pokoju gościnnego, zamyka drzwi i przekazuje tajny klucz Zygmunutowi.

A tu rozmowy w toku, Bikavéra na razie wystarczy. Proszą Wojtka o nowy dowcip o Willim Masztalskim. Czemu nie, on nigdy nie daje się prosić, opowiada jedną z zasłyszanych niedawno anegdot. Na powszechne wybuchy śmiechu nie trzeba czekać do pointy. Sprawia to niepodrabialna intonacja Wojtka, który mówi, jakby się tu urodził. A przecież urodził się całkiem gdzie indziej. I to starszy brat poradził mu, że jak chce myśleć o aktorstwie, to musi się pozbyć swojej naturalnej lwowskiej intonacji. No dobrze, po Wojtku nikt się już nie odważy na śląskie dowcipy, pojawia się więc tradycyjny repertuar, niewyczerpane źródło spotkań Francuza, Polaka i Ruskiego, albo Salci i Mońka, ale dochodzą pierwsze sygnały, że Mariusz musi wyruszać. Trzeba dojść do przystanku dwójki albo czwórki i na dworzec.

Wojtek i Zygmunt mają przed sobą znacznie krótszą drogę. Żegnają się, obiecując, że za półtorej godziny będą z powrotem. Po wyjściu z akademika przechodzą przez Łużycką, potem obok Kościoła św. Michała wchodzą w ulicę Krzywoustego.

– Skąd znasz tych ludzi, do których idziemy? – pyta Wojtek.

– To znajomi moich rodziców, a oni poznali ich przez moją ciotkę, siostrę mamy. Jeszcze przed maturą przyjechaliśmy do nich z mamą na taką niewinną konsultację. Bo ja wiem, czy niewinną, no tak się w każdym razie to odbyło. Ten pan był wtedy prodziekanem wydziału,

na który miałem zdawać. Możesz sobie wyobrazić, jak mi było głupio, ale wizyta okazała się sympatyczna. Zadał mi kilka pytań, powiedział, na co zwracać uwagę przy egzaminach. Egzamin były zresztą łatwe, z żadnym zadaniem nie miałem kłopotu. Potem parę razy radziłem się go w sprawach technicznych radiowęzła, on się na tym zna. A od kąd kupili telewizor, przyjęło się, że w czwartki przychodzę do nich na „Kobry”. Ich sublokatorką jest ta słynna profesorowa, wdowa po Weiglu, rektorze Politechniki Lwowskiej.

– Tak, słyszałem o niej.

Kiedy weszli do willi, Wojtek się zdziwił.

– Coś podobnego, właściwie mogłem się domyślić, że to tutaj. Od dwóch lat przechodzę koło tego domu niemal codziennie, przecież to po drodze z Arkońskiej do mojej katedry. Czułem, że prędzej czy później zobaczę, jak tu wygląda w środku.

Wchodzą na piętro, dzwonią do drzwi. Otwiera im Antek, uprzedzony o ich wizycie. Przez korytarz wprowadza gości do pokoju, przedstawia ich Profesorowej i rodzicom. Zygmunt zagaja grzecznie:

– Bardzo jesteśmy wdzięczni obaj z kolegą. Bo w akademiku teraz historyczne sceny, jak zawsze w czwartek przed „Kobry”. Każdy chce się dostać do sali telewizyjnej u dziewczyn, a ona nie jest z gumy.

Profesorowa bez uśmiechu, ale raczej przygnębiona niż wyniosła. Wojtek odnosi wrażenie, jakby cała była pokryta szronem, aż trudno rozpoznać jej rysy pod siwymi włosami. Przedstawiony jej, wspomina, że jego mama miała kiedyś zaszczyt poznać profesora Weigla w Klubie Literackim we Lwowie.

– To możliwe – rozchmurzyła się nieco. – Ten klub to było oczko w głowie męża.

Pani domu niska, bezpośrednia, choć małomówna. Najbardziej wylewny jest gospodarz, a jego intonacja przypomina Wojtkowi wschodni zaśpiew ojca. Teraz uprzejmie ścisza telewizor, spektakl jeszcze się nie zaczął.

– Czyli pańscy rodzice pochodzą ze Lwowa?

– No tak, ja też, chyba po mnie słyhać. Przyjechaliśmy do Gliwic w czterdziestym piątym, jak prawie wszyscy tutaj. Ojciec zmarł sześć lat temu, właściwie z tęsknoty za swoim miastem. Ale reszta

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

